

# Krynica - „Patria” Judeorum

odrażająca „perła” uzdrowisk polskich

W Tarnowie wtargnęła do wagonów ciemna, ruchliwa, kłębiąca się fala żydów, w chałatach, lisich czapkach i piśniowych kapeluszach.

Dokąd oni też jadą — ciekawi mnie. Przecież ten pociąg nie dochodzi do Palestyny, ani też nie jest to droga, wiedząca do portu, skąd wyruszą okręty całą parą na Madagaskar. A może jakiś cudowny cadyk?... ale w tych okolicach?

## DO KRYNICE...

Zaintrygowany, pytam:  
— Dokąd jedziecie, mili ludkowie?  
— Do Krynicy, proszę pana. Panu to dźwyl. Przecież cała Polska jeździ do Krynicy.

Struchlałem. Jeśli „cała Polska” będzie wyglądała tak, jak te zapchane gudały, to obawiam się, że zostanie we własnej Ojczyźnie obcokrajowcem. Mija kilka godzin i pociąg mknąc jarami i dolinami rzek, zbliża się do celu. W Zegiestowie na drugim brzegu Popradu widać straż graniczną czechosłowacką, która z wielkim zado woleniem przyjmuje fakt fotografowania jej przez podróżnych.

Jeszcze pół godziny i pociąg sunąc wzdłuż Popradu, wpada z szumem i hukiem na dworzec krynicki.

## CHAŁATOWI „KURACJUSZE”

Z wnętrza wagonów wywala się tłum chałataczy, prac szybko i bez pardonu ku wyjściu. „Kuracjusze”, wyznania handlowego, trzymają paczki, pakunki, walizki ponad głowami, skutkiem czego nie są odosobnionymi wypadkami spadania walizek na głowę.

Ciekawa rzecz. Stoisz człowieku koło wagonu, zaznaczam, stoisz i nie wiesz jakim cudem, nie zrobisz przywego kroku, znajdujesz się przy wyjściu. Fala żydowska porywa i unosi się z sobą, a ty nie masz siły i możliwości się temu przeciwstawić.

Odpoczywam chwilę w poczekalni i idę poza miasto, w stronę Krynicy. Wsi, chcąc odetchnąć trochę świeżym powietrzem, chcąc przejść trochę do równowagi, która zachwiana została widokiem kuracjuszy, zjeżdżających się do Krynicy.

Ten krótki spacer dobrze mi robi. Wracając, idę inną ulicą, Kraszewskie go.

## TEL-AVIV

Po chodnikach widać się parami czworkami, żydzi, żydówki, żydziaki, żydóweczki wszelkiego rodzaju i kalibru. Są różne i różni, jak tylko wy-

## Współmierne wartości.

Jeden z pejsatych esperantystów oświadczył:

— Polska wydała dwóch geniuszy: Kopernika i Zamenhofa!

Rozwijając tę tezę inni kongresowicze ustalili:

W Warszawie są dwie peretki architektoniczne: Łazienki i bóżnica na Tłomackim;

Znakomite są obie polskie polariwy narodowe: zrazy z kaszą i gęsi pipek z cebulą;

Bardzo melodyjne są oba polskie hymny narodowe: majufes i Mazurek;

Pełne powagi i wdzięku są polskie stroje narodowe: kontusz i chałata;

Wielce do twarzy Polakom z tymi sumiastymi wąsami i pejsami;

Wspaniałe są utwory Mickiewicza i artykuły Hirszhorna.

Gdyby Mickiewicz dziś żył, byłby kolegą Hirsza, bo oczywiście pisywałby w „Naszym Przeglądzie”. (kol.)

obrazić sobie można. Jednak co mnie mocno dziwi, nie widać nawet jednej aryjskiej twarzy. Co to jest? W pewnym momencie rzucił mi się w oczy napis „Tel-Aviv”.

Gdzie ja jestem? w Palestynie? Biłbym się, ale tylko do Krynicy. Trzeba zasięgnąć jakichś informacji. Rozglądną się wokoło, i, o dziwo! Jest jedna aryjska twarz — policjant!

Ale co za dziwny policjant. Rogatywka, mundur też nigdzie przeze mnie niewidziany. Tak, na pewno jestem w Tel-Aviv, a ten aryjszy, to pewnie Anglik.

Trzeba pytać. Ale w jakim języku. Angielskiego nie znam. Próbuje po niemiecku.

— Kennen Sie mir sagen, was für ein Stadt das ist?

— Co takiego? Stadt? — Krynica!

— Aaaa! Krynica. Dziękuję. Myślałem, że naprawdę Tel-Aviv.

Złudzenie się rozwiało, pozostała rzeczywistość. Zostawiam policjanta, który patrzy na mnie, jak na dezertera z Tworek, i ruszam dalej z zamiarem wynalezienia jakiegoś locum na dwa, trzy dni. Rozglądam się po willach, szukając odpowiedniej.

„Centralna”.

## WILLE...

Wchodzę w bramę, po tym na podwórku, ale po zapachu, wionącym z otwartych okien orientuję się, że napis „Centralna” jest starym zwyczajem żydowskim niekompletny. Pełny bowiem brzmień powinien — Centralna żydowska.

Nie zrażony pierwszym niepowodzeniem, idę dalej.

„Wegier”.

Staję zdumiony, bowiem takich Węgrowskich miałem okazję „mnóstwo za bar dzo” spotkać w Warszawie, i nawet nie na zawodach sportowych. Nazywali się nie Węgrzy, tylko zwyczajnie, po polsku — gudałaje.

„Idę dalej”.

Willi „Trzech róż”.

No, nareszcie coś znalazłem dla siebie. Ta nazwa tak mi jakąś dziwnie przypadała do gustu. I sam domek bardzo ładny, drewniany, z rzeźbionymi balkonami. No i nazwa. Taką poetyczną, romantyczną, wionącą cudnym, wonnym, upajającym zapachem...

O, kichnąłem. Podrażnił mnie zapach, ale nie trzech róż, tylko przy najmniej stu róż, które tłumnie oblepiły okna i balkony, obserwując aryjszy, który miał odwagę przyjechać do „naszej” Krynicy.

Spotkał mnie srogi zawód. Tyle sobie obiecywałem po tych „Trzech różach”...

Szukam jednak niestrudzenie dalej, i spotykam nareszcie dom na uboczu, skromny, szary, schowany między żydowskimi willami, jakby wstydzający się, że się tu znajduje.

Jednak i to mnie zawodzi.

„Karmel”. Kuchnia rytualna.

Wracam czynnym, żyjąc jedynie mieszkańcom, by się jak najprędzej znaleźli w okolicach Karmelu, czy Hebronu.

Naprzeciwko „Karmelu” wpadam na „Gwiazdę”, która, sądząc po słońcu, jest na balkonach bliżej od ulicy, po brudzie koło domu i po hałasie, i szwargocie, winna nosić nazwę — „Gwiazda Syjonu”.

## WYGOROWANE WYMAGANIA

Już rezygnuję z chociażby dwudniowego pobytu w Krynicy. Mijam dom Zarządu i Miejskiego, idę w kierunku deptaku, gdzie spotykam jeszcze jedną twarz ludzką — księdza.

Świta mi nadzieja, że może ten ksiądz będzie wiedział o willi chrześcijańskiej, w której mieszkają tylko i wyłącznie chrześcijanie. Pytam więc go o to.

— Proszę księdza, czy ksiądz nie wie przypadkiem, czy jest tu jakaś willa chrześcijańska, bez żydów?

— Hm, takiej, to chyba nie ma? Jak na Krynicy, to stawia pan zbyt wygórowane wymagania.

— O, to nie dobrze! Ale może jakiś Krakus, Zamek, Lwigród, Patria, Jurand...

— Nie, nie, proszę pana, w tych, to pan tego nie znajdzie o co panu chodzi. Ale może pan poszuka tam, koło stacji...

## JA NIE MAM DZIECKA...

Chcę już najprędzej wyjechać stąd, ale, że mam do pociągu jeszcze przeszło dwie godziny czasu, więc z konieczności pozostaję.

Przechodzę przez deptak, zapchany formalnie chałatowymi „towarzystwem”. Z trudnością przepycham się

przez to tarapatstwo, które żadne bezpłatne uciechy, pcha się jak najbliższe orkiestry.

Wszystkie aleje zapchane żydami, (bowiem w parku też orkiestra gra za darmo), zatłoczone poprostu. A o wolnej ławce nie można nawet marzyć. Koło ławek na trawie i krzakach papieri, skorupki, widome znaki kultury żydowskiej.

Przechodząc koło jednej z ławek, chwytam urywek rozmowy żydźki i żydźki, którzy razem, w kupę wzięci, nie liczą na pewno więcej, niż 30-ci lat.

— Jednak ja nie mam dziecka.

— Jak pani to robi?...

Ta masa żydowska przytłacza mnie, dusi, jak zmora. Wstyd mi po prostu, że się tu znajduję, wstyd mi, że taką jest polska rzeczywistość.

Chcę wyjechać przeto już jak najprędzej. Ale na moje nieszczęście do pociągu jeszcze dużo czasu. Zmuszony więc jestem pozostać i podziwiać miejscowe „pejsaże” z całej Polski.

## „PATRIA” JUDEORUM

Udaję się jeszcze do „Patrii”, gdzie na parkietce wije się w konwulsyjnych drgawkach żydostwo w takt majufesowych fox-goldów.

„Patria” — ale czyja? Bo Polak tam się czuje obco.

Idę ku stacji. Po drodze wpada mi jeszcze napis w oko „Niespodzianka”.

Nic z tego, czcigodni patriarchowie. Dla mnie już nie ma w Krynicy niespodzianek.

Ściągają mnie jeszcze „Jagiellonowie”, „Belmonte’y”, „Zachęty” i „Szczesne”.

Słusznie mówią, że w Krynicy jest kościół dla katolików, kircha dla protestantów i... bóżnica dla — kuracjuszy.

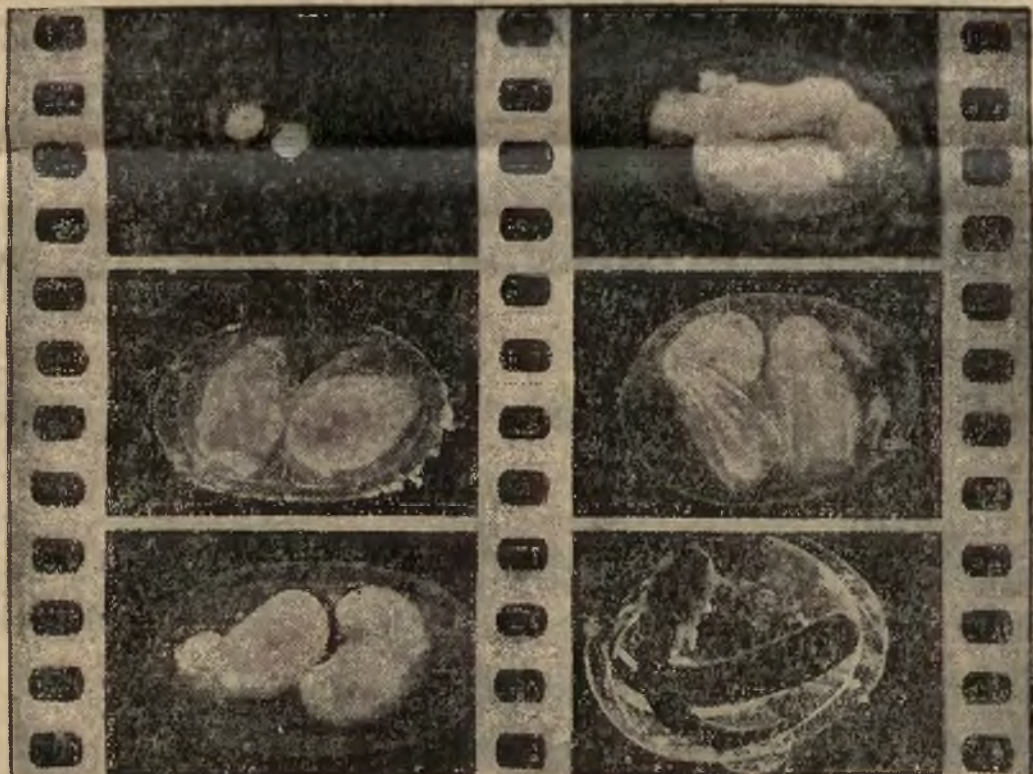
T. KUR.

## Niezbadana choroba trapi Eskimosów

Napływają wiadomości z wszystkich najdalej nawet wysuniętych na północ osad eskimoskich, donoszące o jakiejś tajemniczej chorobie, dziesiątkującej mieszkańców północy, przede wszystkim Eskimosów. Objawy tej choroby zaobserwowano już w latach poprzednich, ale dotychczas nie udało się ustalić jej charakteru, gdyż często wymierają co do jednego członkowie rodziny, tak że nie pozostaje nikt, kto mógłby opowiedzieć o przebiegu i objawach choroby.

Lekarze, stacjonowani na północy, sądzą, że jest to pewien rodzaj zatrucia mięsem.

## Z tajemnic życia



Zdjęcie nasze przedstawia fragment ciekawego filmu naukowego, demonstrowanego przez niemiecką wytwórnię „Ufa” na międzynarodowej wystawie filmowej w Wenecji. Film ten obrazuje rozwój pary salamander — bliźniąt, powstałej z jednego jajka. Na zdjęciach widzimy na lewo od góry: Faza I-sza — zapłodnione jajo salamandry. Faza II-a — komórka jająca przekształca się w embrion. Faza III-a — embriony przybierają zarys przyszłych form larwy. Na prawo od góry: Faza IV-a i V-a — dalsze wykształcanie się embrionów, rozwój kończyn i tułowi, wreszcie — faza VI-a — wykształcone larwy salamandry gotowe do opuszczenia ciasnej otoczki jajowej.

HEDDA WESTENBERGER

54)

DR. MED.

# KARIN FISZER

POWIEŚĆ

Odetchnęła naraz. Tam w kącie obok parasola Elzy stoi jej górski kij... Elza miała go zanieść do naprawy, bo monogram się obłuźnił... Z tym kijem w ręku może...

Nie spuszczaając pijaka z oczu przesuwa się do kąta. Młodzieniec widocznie nie zdaje sobie sprawy, co Karin chce zrobić, stoi pod ścianą i głowę wysunął ciekawie...

— A gdzie siedzi Elza i pije? — pyta Karin, starając się tym pytaniem odwrócić uwagę Franka od tego co robi.

— Nic pani do tego — odpowiada, starając się zapiąć kurtkę... ale Karin już jest przy nim ze swoim kijem, grubym, ciężkim, z długim żelaznym okuciem.

W oczach Hoffmanna zapłonęła dzika błysk, taki złośliwy błysk alkoholika... Muszę się mieć na baczności, myśli Karin.

Stoją, mierzą się oczyma przez sekundę.

— Niech pani zostawi ten kij... Inaczej mógłbym być niebezpieczny — grozi Hoffmann.

Karin zmieniła ton i spokojnie zaczyna przemawiać.

— Kij tymczasem nie ma do gadania, teraz my się jasno rozmówimy, panie Franku. Jeżeli by się pan ruszył, albo

chciał ze mną wojować — na mój krzyk zleci się cały dom. A potem? Pan wie, co się robi z takimi ludźmi, jak pan w tej chwili. Po za tym mam mój kij... Nic innego panu nie pozostaje, jak oddać wszystko co pan wziął Elzie, oddać klucz i grzecznie iść przede mną aż do bramy. Jeżeli to panu dogadza i pan się zachowa przyzwyczajenie, nikt się o pana wyczyni nie dowie. Rozumie pan? W przeciwnym razie...

Franek Hoffman widocznie namyśla się. Jego małe, wodniste, głupie oczy wędrują po pokoju od okna do drzwi, znowu do okna, potem zwracają się ku Karin.

Żeby tylko siły nie wypowiedziały mi posłuszeństwa, nim się jego pozbędzie — myśli Karin ze strachem i żaluje prawie, że nie narobiła hałasu... ale zeszyt!...

— No? — odzywa się ostro — zaczynać!

Hoffmann się broni.

— Nic nie mam — to tylko był żart.

— Oddawać! — woła Karin. — Najpierw wypróbuję Kieszę na piersiach.

Hoffmann wyciąga różne rzeczy powoli, ale Karin widzi, że ręce mu się trzęsą: torebkę Elzy, książeczkę z Kasy Oszczędności, broszkę do jej niebieskiej bluzki, kilka listów...

— Ale zeszyt?...

— Jeszcze brakuje?

— Nic nie brakuje.

W Karin zbiera wściekłość, jak jeszcze nigdy w życiu... głos zmieniony oddech dyszący — ma uczucie, że jej kij znajduje się na gbie tego draba... która się do tego cudownie nadaje...

— Oddawaj zeszyt — i już jest przy nim — chwytając samą za kurtkę i kieszeń i choć się Hoffmann broni — wyciąga zeszyt i broniąc go przed łapami draba, podnosi kij i uderza

tak silnie, że Hoffmann z bolesnym krzykiem opuszcza rękę. — Bestia — mruczy i zdaje się, że się rzuci na nią. Naraz z wielkim pospiechem umyka do drzwi, spoglądając z ukosa na Karin, która śmiertelnie biała idzie za nim z kijem w ręce, z zeszytem w drugiej.

— Gdybym nie był pijany... mówi sam do siebie, znalazłszy się na ulicy.

Karin zamyka drzwi. Obym tylko wróciła do siebie — myśli wyczerpana ostatecznie... Nareszcie pada na krzesło w przedpokoju. Jakiś dziki płacz wybucha w niej — czuje się bezgranicznie nieszczęśliwą. Jedyna jasnieszka myśl pociesza ją... Zeszyt uratowany! Po chwili zjawia się druga... Co z Elzą? Kto wie, co on z nią gotów zrobić! Ze też nie wyciągnęła od niego, gdzie Elza siedzi i pije!...

Jeszcze cała drży, ale zrywa się... Zmywa sobie czoło i oczy wodą kolońską, bierze płaszcz i biegnie. Pójdzie do policjanta na rogu, ten zna Elzę dość dobrze, może pomoże jej szukać...

Przeszli wszystkie lokale na Heltelbeck, druga wybiła, potem trzecia, nie ma nigdzie Elzy ani Hoffmanna. Karin ledwie się trzyma na nogach. Policjant patrzy na nią ze współczuciem.

— Nie może być inaczej — tłumaczy jej, tylko trzeba zameldować, że dziewczyna zniknęła. Jeżeli do rana nie wróci, trzeba będzie zameldować. Pani doktor już niech do domu wraca. On nie może opuścić swojego rewiru, nie ma celu takie szukanie. A może ona już przed drzwiami czeka, kto to wie.

I Karin wraca... idzie jak stara, zmęczona kobieta.

Naturalnie Elzy nie ma.

Gdzież jest Elza?

(D. c. n.).